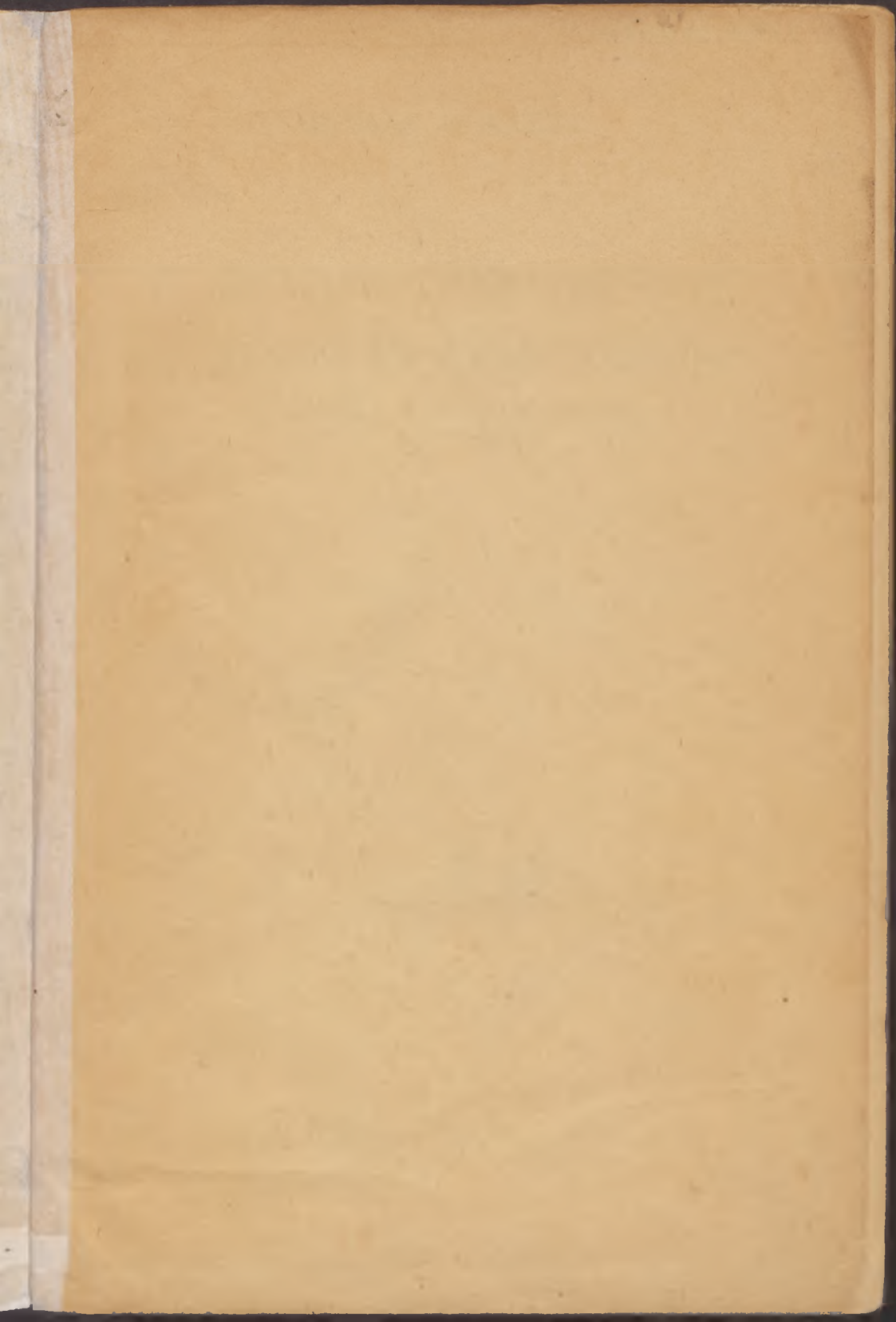


J. W. Tecki

Roman Górecki

Z MOICH
WSPOMNIENÍ
O JOZEFIE
PIŁSUDSKIM





588693
venice 1942.

ROMAN GÓRECKI

Z MOICH WSPOMNIENÍ
O JÓZEFIE PIŁSUDSKIM

(W SIÓDMĄ ROCZNICĘ ZGONU)

Autent

Ex Libris
JOSEPH ZBIGNIEW NITECKI

M. I. KOLIN (PUBLISHERS) LTD
229-231 HIGH HOLBORN, LONDON, W.C.1

FIRST PUBLISHED MAY 1942



911144

Printed in Great Britain by The Riverside Press, Edinburgh

22 33/05

Było nas czterech braci. Wszyscy służyliśmy w legjonach. Apolinary — najmłodszy — poszedł z IV klasy do III brygady, do 6 p.p. Drugi skolei, Adam, służył w I brygadzie w 4-m bataljonie. Starszy Juljusz — służył również w I brygadzie w bataljonie Olszyny. Ja — najstarszy — służyłem w bataljonie mjr. Galicy. Potem w III brygadzie, w 6-m p.p. Następnie w komendzie legjonów, a wreszcie w II brygadzie, która stanowiła wówczas t. zw. Polski Korpus Posiłkowy.

Gdy się tak czasem złożyło, żeśmy do matki naszej na święta przyjechali, to pomimo węzłów braterstwa i dużej między nami harmonji — prowadziliśmy ożywione a czasem zażarte dyskusje. Julek i Adam, należący do młodzieży postępowej, nazywali mnie „endekiem“, „N.K.N.-owcem“, papistą i starym konserwatystą. Ja, należąc do organizacji młodzieży narodowej, odpłacałem się, nazywając ich „internacjonalami“ i „ateuszami“. Najmłodszy Polek nie zabierał głosu, ale z niektórych jego odezwań się wnosilem, że przychylił się raczej do młodszych, do „czerwonych“, co mnie niepokoiło i martwiło.

Matka nasza w trudnej nieraz była sytuacji, bo nas wszystkich jednakowo kochała: toteż — czy łamiąc się z nami opłatkami, czy dzieląc się jajkiem wielkanocnym — mówiła nieraz:

— A ja wam powiadam, chłopcy, że Komendant najlepiej wie, która droga do Polski prowadzi.

Wtedy to młodszy i wiekiem i stopniem braciaszkowie spoglądali na mnie z nieukrywanym zadowoleniem i z pewnym tryumfem, bo wiedzieli dobrze, że ja wówczas niezupełnie zdanie to podzielałem.

*

Pierwszy raz w życiu widziałem Komendanta we Lwowie wiosną 1913 r. w czasie dużych ćwiczeń Związku Strzeleckiego, Polskich Drużyn Strzeleckich, Polskich Drużyn Bartoszewych i Polowych Drużyn Sokoła.

Po raz pierwszy składałem mu meldunek w drugiej połowie września 1914 r.

*

Począwszy od VI klasy (było to w r. 1906) należałem do organizacji Młodzieży Narodowej (kółka samokształceniowe w II gimnazjum w Tarnowie). Pierwszą książką, którąśmy czytali na naszych tajnych zebraniach, były „Myśli nowoczesnego Polaka“ Dmowskiego. Jako student uniwersytetu lwowskiego należałem do „Sokoła-Macierzy“. W tym to czasie nastąpiło silne napięcie stosunków między Niemcami, Austrią i Serbją, a pośrednio i Rosją, na tle aneksji Bośni i Hercegowiny. W łonie „Sokoła“ powstała wśród Młodzieży Narodowej grupa, która wychodziła z założenia, że nie wystarczy same ćwiczenia gimnastyczne, zjazdy i udział w obchodach narodowych, ale że wobec możliwości zbrojnego starcia na ziemiach polskich trzeba przedewszystkiem uczyć się strzelać; gdy przygniatająca większość starszego bractwa sokolego nie podzieliła tego zdania, uważając, że jakakolwiek myśl o walce zbrojnej — to „porywanie się z motyką na słońce“, przyszło do t. zw. frondy drużyniackiej.

Późną jesienią 1909 r., gdyśmy się zebrali w dużej sali „Sokoła-Macierzy“ we Lwowie przy ul. Zimorowicza, by rozpocząć ranne ćwiczenia — wystąpił starszy o parę lat od nas student politechniki lwowskiej, „druh“ Norwid-Neugebauer, i wydał rozkaz:

— Podchorążowie, na moją komendę!

Wśród sokolów powstał zamęt: my, młodszy, zakonspirowani, stanęliśmy na „baczność“, następnie wykonywaliśmy dalsze jego rozkazy, maszerując czwórkami po sali gimnastycznej, podczas gdy nad zwolennikami dawnego systemu pracy objął komendę inny druh.

Taki był początek organizacji wojskowej: Polskie Drużyny Strzeleckie.

Polityczną podstawą tej organizacji była „Kuznica“. Organem naszym był miesięcznik „Zarzewie“. Protektorem naszym czy patronem był prof. Eugenjusz Romer.

Drużyny Strzeleckie nawiązały natychmiast kontakt z utworzonym już przedtem Związkiem Strzeleckim, który był legalną ekspozyturą zakonspirowanego Związku Walki Czynnej. Narazie chodziło o ujednostajnienie regulaminów wojskowych i o wzajemną pomoc w przeprowadzaniu pracy wojskowej; tak np. dopóki nie zostały załatwione formalności,

związane z zalegalizowaniem Drużyn, korzystaliśmy, idąc na ostre strzelanie, z legitymacji „strzelców“.

*

Niepodległościowy ruch wojskowy rozwijał się coraz bardziej; niebawem powstały wśród młodzieży wiejskiej Polskie Drużyny Bartoszwowe; wreszcie „Sokół“, widząc że nie utrzyma w swoich szeregach młodzieży, rwącej się do pracy wojskowej, zaczął tworzyć sokole Drużyny Polowe.

Przeszkolenie wojskowe przechodziłem w Polskich Drużynach Strzeleckich w latach 1909–1914. Na wiosnę 1913 r. widziałem po raz pierwszy Komendanta na ćwiczeniach, przeprowadzonych przez wymienione organizacje.

Wybuch wojny w sierpniu 1914 r. zastał mnie w Szczawnicy na rekonwalescencji po przebytej przed kilku miesiącami chorobie. Mobilizacja Drużyn Strzeleckich była już przeprowadzona; w Szczawnicy miejscowy lekarz zakładowy badał chłopców, którzy z zapalem i z wielką gorliwością ćwiczyli w swoich ubraniach cywilnych. Komendantem „garnizonu“ był kol. Wojakowski; ja z ręką na temblaku spowodu niewyleczonego jeszcze zapalenia stawów ćwiczyłem musztrę formalną i naukę o broni (mieliśmy wszystkiego dwa austriackie manlichery). Wojakowski wysłał już do Krakowa dwie kompanje marszowe a sam poprowadził trzecią. Poszedłem z nim jako dowódca 1-go plutonu, chociaż lekarz niewesołe stawiał horoskopy co do moich fizycznych możliwości.

Marszem podróжным poszliśmy nocą ze Szczawnicy do Nowego Targu. Piękna to była noc. Nasi chłopcy przywdziali odświętne stroje i maszerując równym, lekkim krokiem — wyśpiewywali melodie góralskie, zaciągając w niektórych miejscach przeciągle — aż echo rozbrzmiewało po górach. Nie obeszło się przytem bez incydentu, tak bardzo dla tamtych czasów charakterystycznego. Przed komisją lekarską stanęło dwóch młodych górali, braci. Starszy Jan, tegi 19-toletni chłopak, od dwóch lat „drużyniak“, zmiejsca uznany został na „zdolnego“, młodszy Andrzej wyglądał na 14 lat, chociaż przysięgał, że ma skończone 16; lekarz na pierwszy rzut oka zorientował się, że to jeszcze dzieciak, i wogóle nie chciał go badać; chłopak w ryk, ale nic nie pomogło. Pomimo to przychodził stale na ćwiczenia, a na moje zapytanie tłumaczył się, że on tak tylko chce się przyjrzeć, jak to jego braciszek przygotowuje się na „polskiego wojaka“. Gdy rozbierałem manlichera, by pokazać żołnierzom funkcjonowanie każdej

jego części, mały Jędrak nie wytrzymał i płaczem wymusił na mnie, że mu pokazałem cały mechanizm karabinu, no i pozwoliłem oddać parę strzałów ćwiczebną amunicją pokojową. W dzień naszego wymarszu spotkałem Jędrka w odświętym stroju, ale mi się tłumaczył, że przyszedł pożegnać brata, co na wojenkę idzie.

Otóż, gdyśmy wyruszyli ze Szczawnicy, po jakiejś godzinie marszu, dopędził nas wóz parokonnny; było to w czasie przerwy w śpiewaniu, więc całkiem wyraźnie usłyszałem głos Janka, dochodzący z dalszych czwórek:

— Jędrak! wyrywaj co sił w nogach, bo tata z matką przyjechali — musi chyba po ciebie!

Jędrak, który już przedtem poznał ojcowskie konie, nie czekał na przestrogę brata, lecz przesadziwszy rów przydrożny, rwał przez zagajnik aż zniknął w lesie. Matka, poważna gaździna, kilkakrotnie za synem wołała — ale odpowiadało jej tylko dalekie echo — wtedy zwróciła się do Wojakowskiego, który tymczasem zatrzymał kompanję, i zaczęła prosić:

— Dwóch ich tylko mam, panie! Ale jak trzeba, to niech idą, byle nie tak naraz; Janek duży już jest i mocny, to go Bogu polecam, i niech idzie, kiedy wszyscy idą; ale Jędrak, panie, on dopiero na Wielkanoc 14-y rok skończył a po chorobie chudziak taki z niego, że on i tego karabinu nie udźwiga; panie — ta wojna musi parę lat potrwać, niechby jeszcze trochę w domu został, podjadł sobie a podrośł, to wtedy słowa nie rzeknę a pobłogosławię i za Jankiem na wojnę go posłę; zawierzcie mi, panie!

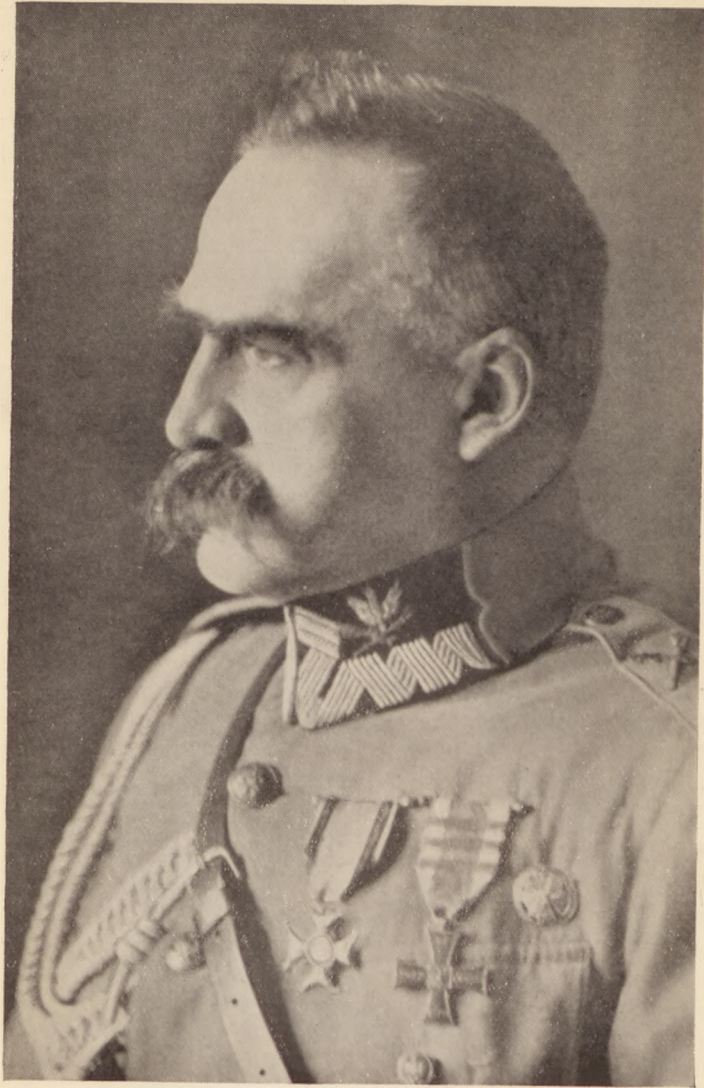
Wojakowskiemu, jak i nam wszystkim, żal było matki; wtedy kompanja cała chórem zawołała:

— Jędrak! wracaj!

Ale nie wrócił...

Nad ranem doszliśmy do Nowego Targu, gdzie nas zaważonowano, przewieziono do Krakowa i zakwaterowano w Oleandrach. Tam też zameldował się Jędrak; okazało się, że poszedł w nocy naprzód do Nowego Targu; na dworcu dowiedział się, które wagony idą ze szczawnicką kompanją, ukrył się w jednym z wagonów i tak z nami pojechał.

W drugiej połowie września 1914 r. pełniłem w Oleandrach służbę oficera inspekcyjnego; nagle po północy przyszedł Komendant. Wtedy to złożyłem mu pierwszy meldunek. Wysłuchał go uważnie, zapytując o kilka drobniejszych ale dla życia żołnierskiego ważnych spraw. Broda, którą wówczas jeszcze nosił, nadawała jego twarzy wyraz nieco surowy, ale w





GRUPA UCZESTNIKÓW PIERWSZYCH IMIENIN KOMENDANTA, SPĘDZONYCH
NA POLU WALK W GRUDZYNACH NAD NIDĄ 19.III.1915 r.

Pierwszy rząd od lewej do prawej :

Marceli Śniadowski, Jerzy Sawicki, Jur-Gorzechowski, Kazimierz Sosnkowski, Komendant, Grzmot-Skotnicki, Scaewola-
Wieczorkiewicz, Ryl-Trojjanowski, Mieczysław, Dąbkowski, Zosik-Tessaro, Ignacy Daszyński, Leon Berbecki, Stanisław Roupport.

Drugi rząd od lewej do prawej :

Juliusz Stachiewicz, dr. Zagóski, Kadon-Bandrowski, Tadeusz Zbigniew-Kasprzycki, Kollontaj-Szrednicki, F. Mikiewicz, Aleksander
Litwinowicz, Eugenjusz Pieszczyński, Satyr-Plewzar, Wacław Aleksandrowicz, Władysław Belina-Prażmowski, Ferrek Bleszyński,
Zygmunt Sallistrowski, Juliusz Słonecki.

oczach widziałem pogodę i dobroć. Przy tym pierwszym meldunku omal że się nie zająknąłem: u nas w „Sokole“ mówiło się „druhu“, w Drużynach Strzeleckich — „kolego“, a w Związku Strzeleckim — „obywatelu“; otóż mówiąc: „Obywatelu Komendancie!“, trochę się zawahałem — ale Komendant rzucił wzrokiem na moją odznakę drużyniacką na czapce i uśmiechnął się do mnie, widząc moje zakłopotanie.

W ciągu lat 1915–1918 tylko parę razy widziałem Komendanta, gdy nad Styrem pod Kostiuchnówką 6-y pułk, w którym wówczas służyłem, sąsiedował z pułkami I brygady. W czasie ofensywy Brusilowa byłem przeniesiony do komendy legjonów. Późną jesienią 1916 r. wjeżdżałem do Warszawy w sztabie gen. Szeptyckiego, ówczesnego komendanta legjonów. Niemcy nie wpuścili do Warszawy wówczas żadnej jednostki I brygady. Na pl. Saskim witał nas Beseler, którego prze-mownie tłumaczył nam zdanie po zdaniu gen. Szeptycki.

Pomiędzy komendą legjonów i Naczelnym Komitetem Narodowym, a szczególnie jego departamentem wojskowym z jednej strony, a komendą I brygady z drugiej, był stan stałej wojny, która przybierała nieraz dość ostrą formę. Tak było np. ze sprawą odznak: Austriacy, traktując legjony jako wojsko „drugiej klasy“, chcieli je zrównać z „Landsturmem“, toteż ustalając odznaki stopni podoficerskich i oficerskich, wyznaczili dla nas nie gwiazdki oficerskie ale rozetki, które w armji austriackiej nosili urzędnicy wojskowi. Piłsudski nie przyjął jednak odznak austriackich i na własną rękę wprowadził w I brygadzie dawne polskie wężyki na kołnierzach, sam natomiast wogóle żadnych odznak nie włożył, nosząc swoją szarą bluzę strzelecką. Otóż gdy komenda legjonów kategorycznie zażądała ujednostajnienia odznak, wówczas Piłsudski nakazał swej brygadzie zdjęcie wszelkich odznak, co naturalnie natychmiast wykonano.

*

TRAKTAT BRZESKI — IV ROZBIÓR POLSKI — RARAŃCZA — MAGDEBURG — MARMAROS- SZIGET — KANIÓW

Dn. 12 lutego 1918 r. otrzymaliśmy w Łużanach na Bukowinie gazety lwowskie w czarnych obwódkach. Gazety zawierały tekst traktatu brzeskiego, zawartego przez państwa środkowe z bolszewikami. Wyrysowaliśmy na mapie czerwono-

nym ołówkiem „nowe“ wschodnie granice Polski i ze łzami w oczach patrzyliśmy na nie jak na krwawiącą ranę. Nowa granica, idąc od północy ku południowi, odbierała nam Chełmszczyznę i wprawdzie zatrzymywała się nad dawną granicą austriacko-rosyjską, ale przeczuwaliśmy, że są jeszcze jakieś tajne klauzule, w myśl których Małopolska Wschodnia wraz z Lwowem i Przemyśłem miała być nam zabrana i oddana Ukrainie. Toteż ogarnęła nas rozpacz!

Sytuacja w legionach wyglądała tak.

Już w lecie 1917 r. brygadjer Piłsudski stanął na stanowisku, że należy wstrzymać werbunek do legionów, bo ani Niemcy ani Austrija nie mają zamiaru realizować przyrzeczeń, danych N.K.N. co do odbudowania Polski, lecz przeciwnie, chcą tylko otrzymać „polskie mięso armatnie“. Równocześnie brygadjer odmówił złożenia przez I brygadę przysięgi, której zażądały państwa środkowe i która miała stwierdzić, że legjony polskie, czy też Polska Siła Zbrojna, nie wezmą udziału w wojnie przeciwko Niemcom i Austriji. Na tem tle przyszło w legionach do t. zw. kryzysu przysięgowego. W rezultacie brygadjer Piłsudski wraz z szefem Sosnkowskim zostali przez Niemców aresztowani i wywiezieni do Magdeburga. I brygadę, a następnie III, po odmówieniu przysięgi rozwiązano, a legionistów z tych brygad umieszczono w obozach Szcypiorniej i Benjaminowa.

Przysięgę złożyła tylko II brygada; powstał z niej Polski Korpus Posiłkowy.

O.d.b. Korpusu przedstawiało się jak następuje. Dowódca korpusu: generał brygady Zygmunt Zieliński; szef sztabu: mjr. Adam Nieniewski; jego zastępca: kpt. Henryk Pomażański; szef intendenty: mjr. Ferdynand Cimala; jego zastępca: kpt. Roman Górecki; szef sanitarny: pplk. Wojciech Rogalski; szef sprawiedliwości: mjr. aud. Artur Ganczarski.

W skład Polskiego Korpusu Posiłkowego wchodziły: II brygada legionów — dowódca płk. brygadjer Józef Haller, 2-i p.p.—dowódca pplk. Michał Żymirski, 3-i p.p.—dowódca mjr. Józef Zajac, 1-y p. art.—dowódca mjr. Włodzimierz Zagórski, i kadra zapasowa w Bolechowie — dowódca pplk. Władysław Sikorski, dawniej dyrektor departamentu wojskowego N.K.N.

Ja złożyłem przysięgę wraz z II brygadą. Uważałem, że dopóki istnieje jeszcze choćby najmniejsza nadzieja utrzymania jakiegokolwiek polskiej siły zbrojnej, należy ją utrzymać, bo w

krytycznym momencie może się przydać. Wierzyłem poza-tem, jak i inni moi koledzy z II brygady, w akt 5 listopada 1916 r., w którym dwaj cesarze solennie zobowiązali się odbudować niepodległą Polskę.

Niebawem przyszły do nas wiadomości, jak kraj reaguje na zdradziecki zamach naszych austriacko-niemieckich „sprzymierzeńców“. Oto w Małopolsce wybuchł strajk generalny, stanęły koleje, najwyżsi dygnitarze polscy odsyłali swoje orderzy do Wiednia i do Berlina a inni jeszcze dla uproszczenia sprawy poprostu przywiązywali je psom do ogonów... A trzeba wziąć pod uwagę, że to wszystko działo się w okresie, gdy państwa środkowe — zlikwidowawszy front wschodni przez traktat brzeski — przerzucały na zachód ponad sto dywizyj, które gnały tam z okrzykiem „Got, strafe England!“.

W takim to momencie, gdy już wszystkim się zdawało, że państwa środkowe, będące wówczas u szczytu potęgi, osiągną ostateczne zwycięstwo, wypowiedziano im jeszcze jedną wojnę... Wojnę tę wypowiedziała im II brygada!

Gdyśmy w gronie kilku kolegów patrzyli na mapę ze świeżo nakreśloną „nową“ granicą, uświadomiliśmy sobie cały tragizm naszej sytuacji: przez cztery lata legjony były się u boku „sprzymierzeńców“ w nadziei, że biją się o Polskę, która wcześniej czy później będzie odbudowana; a tymczasem wystarczyło, że bolszewicy obiecali dostarczyć potrzebnych im surowców, a przede wszystkim ukraińskiego zboża, by nasi „sprzymierzeńcy“, którzy potrafili w rozkazach dziennych sławić bohaterstwo legjonów, sprzedali nas poprostu z całym cynizmem i zamiast odbudowanej Polski — postawili nas wobec czwartego rozbioru Polski. Toteż rozpacz nasza nie miała granic!

Niebawem przyszły refleksje; przecież Piłsudski już dawno rzucił hasło zaniechania jakiejkolwiek dalszej współpracy z Niemcami, przecież on i jego brygady odmówiły przysięgi, co spowodowało, że obecnie znalazł się w twierdzy magdebur-skiej; toteż tam do Magdeburga biegły wówczas myśli moje, i wtedy dopiero po raz pierwszy poczułem się jego żołnierzem, w lutym 1918 r.

II brygada godnie odpowiedziała wiarołomnemu „sprzymie-rzeńcowi“; powstawały różne pomysły: rzucono myśl, by się okopać nad Prutem, zbombardować Czerniowce, gdzie była komenda grupy armji austriackiej i bronić się do ostatniego; była również propozycja, by po ostrzelaniu Czerniowiec

ruszyć na Lwów, rozbijając po drodze niemieckie i austriackie garnizony. Jedno było pewne: że stanowiąc jedyną na ziemiach polskich polską jednostkę bojową, brygada broni nie odda i rozbroić się nie pozwoli. Wkońcu zapadła decyzja, by przejść front austriacko-bolszewicki, połączyć się z tworzonymi tam jednostkami polskimi i kontynuować walkę.

Toteż już w nocy z dn. 15 na 16 lutego II brygada uderzyła pod Rarańczą na Austrjaków, przebiła się przez front i połączyła się z polskimi formacjami na wschodzie, by pod Kaniowem stoczyć walkę z Niemcami. W ten sposób legjony stały się „wszechpolskie“ w tem znaczeniu, że były się pokolei z wszystkimi trzema zaborcami.

Nad ranem dn. 16 lutego zostałem wzięty do niewoli z rezerwowych okopów pod Rarańczą przez szturmowy patrol austriacki; dostali się również do niewoli oficerowie i szeregowi 1-go p. art. i formacyj pomocniczych. Przed samem przejściem brygady zmuszony byłem aresztować dowódcę korpusu wraz z całym sztabem, gdyż nie chciał iść razem z nami. Toteż Austrjacy zaraz, po rozpoczęciu postępowania doraźnego wobec wszystkich nas aresztowanych, zaczęli ode mnie. Po pierwszym przesłuchaniu zakomunikował mi prokurator, że będę przewieziony do Kołomyi i tam doraźnie stracony.

W tych to ciężkich chwilach przyszła mi z pomocą myśl o Komendancie, i zaczęła się wytwarzać więź żołnierskiego do niego przywiązania.

Ponieważ prokurator nie sprecyzował rodzaju kary śmierci (powieszenie czy rozstrzelanie), poprosiłem go o pożyczanie mi na noc austriackiego kodeksu karnego, poczem ustaliłem, że jestem oskarżony o szereg zbrodni, z których trzy były karane przez rozstrzelanie a cztery przez powieszenie. Skoro dopiero sąd miał ostatecznie ustalić rodzaj kary, więc dla uniknięcia możliwego w ostatniej chwili zaskoczenia, musiałem się przygotować na tę i tamtą ewentualność.

Kiedy będąc w więzieniu w Kołomyi a potem w Marmaros-Sziget, uświadomiłem sobie, że Komendant jest również w więzieniu, miałem poczucie pewnego rodzaju zrównania; dawało mi to wewnętrzne zadowolenie i napawało dumą. A gdy przemyślałem sobie wszystkie szczegóły technicznego wykonania kary śmierci, zwracałem się nieraz do Komendanta, jak gdyby był ze mną w tej samej celi, z zapewnieniem, że może być spokojny, że mu zawodu nie zrobię. Nocami rozmyślałem o brygadzie, która wędrowała, by dalej o Polskę walczyć, o matce mojej i rodzeństwie — a potem, z cichą

radością samotnego już człowieka wyobrażałem sobie, jak to kiedyś Komendant dostanie raport, po którego przeczytaniu, pomyśli sobie: „Wytrwał do końca“...

*

Postępowanie doraźne po pięciu dniach wstrzymano i zarządzono zwykle postępowanie polowe. Przewieziono nas do Huszt a następnie do Marmaros-Sziget. Austriacy postawili w stan oskarżenia tylko oficerów — a z szeregowych oskarżono tych, którzy byli ranni pod Rarańczą. Ogólna liczba oskarżonych wynosiła osiemdziesięciu paru oficerów i około trzydziestu szeregowych. Resztę szeregowych odesłano do obozów w Dulfalva, Saldobosz, Szeklencze i innych. Stamtąd wysłano ich partjami na front włoski. W Marmaros-Sziget osadzono nas w więzieniu miejscowym, i z właściwą austriacką pompą rozpoczął się proces.

Po paru tygodniach dotarła do nas wiadomość, że przywieziono legionistę, który brał udział w bitwie pod Kaniowem, że już się znajduje w naszym więzieniu i że niedługo będzie zeznawał jako oskarżony. Wielka radość zapanowała wśród nas, bo najwięcej brakowało nam wiadomości o brygadzie, o jej wędrownkach i walkach. Toteż z wielką niecierpliwością oczekiwaliśmy chwili gdy zobaczymy i usłyszymy tego wysłannika naszej brygady.

Po kilku dniach wprowadzono na salę rozpraw chorążego 2-go p.p. Uśmiechnął się do nas porozumiewawczo; po spisaniu „generaljów“, rozpoczął swoje zeznania; zaczął od bitwy pod Rarańczą, potem opowiedział szczegółowo samo przejście frontu i dalszą wędrownkę brygady, jej połączenie z formacjami wschodniemi, potem dalszy marsz — okrążanie przez wojska niemieckie, a wreszcie przystąpił do relacji o bitwie pod Kaniowem. Od początku procesu nigdy jeszcze nie było takiej ciszy na sali rozpraw; myśmy wszyscy utkwili wzrok w niego; stał w szynelu rosyjskim, w rękę trzymał czapkę legionową i opowiadał poprostu, z żołnierską szczerością; wiedział przecież, że opowiada przedewszystkiem dla nas, a potem dopiero dla austriackiego sądu.

— Pod Kaniowem ogłuszony zostałem granatem ręcznym — mówił. — Niemcy zabrali mnie do szpitala, który był urządzony w szkole. Leżało tam dużo rannych Niemców i paru naszych. W pewnej chwili usłyszeliśmy, że w niedużej od nas odległości wybuchają granaty, coraz to bliżej — wyraźnie się czuło, że to artylerja się wstrzeliwuje; wśród personelu sanitarnego widać było wyraźne zaniepokojenie; dopiero gdy granaty

zaczęły wybuchać tuż obok pod samym szpitalem, podeszliśmy do okien, i zagadka została rozwiązana: oto tuż obok szkoły szły w kolumnie dwa niemieckie bataljony, to nasza artylerja w nie waliła!

Cisza wielka zapanowała na sali; myśmy milczeli, bo duma nas ogarnęła: „Polska artylerja biła w pruskie bataljony!”

Milczenie panowało również wśród Austrjaków. Członkowie trybunału z gen. v. Rettich na czele rozumieli po polsku, tak że wkońcu tłumacz urzędowy przestał tłumaczyć; w ten sposób żołnierz spod Kaniowa wprowadził do procesu polski język urzędowy, na co dawniej władze austriackie za żadną cenę nie chciały się zgodzić.

Siedząc w pierwszej ławie, obserwowałem gen. Retticha. Słuchał z zainteresowaniem, z szacunkiem dla opowiadającego; miałem wrażenie, że już wtedy rozumiał tę prawdę, że zasady uczciwości obowiązują nie tylko w stosunku między pojedynczymi ludźmi ale i pomiędzy narodami i państwami; że każdy naród, a więc i naród polski, posiada takie świętości, których ruszyć nigdy i nikomu nie pozwoli, które nie mogą być objektem ani rozgrywek ani handlu bo w przeciwnym razie „polska artylerja bije w pruskie bataljony!”...

*

Z początkiem października 1918 r. na parę tygodni przed rozpadnięciem się Austrii — otworzyły się przed nami bramy więzienia w Marmaros-Sziget. Cesarz austriacki Karol zarządził abolicję procesu. Wyjechałem zaraz do Lwowa, potem do Krakowa, a wreszcie do Warszawy, będącej jeszcze pod okupacją niemiecką.

Dn. 11 listopada rano wrócił Komendant z Magdeburga do Warszawy; powitał go ks. Lubomirski w imieniu Rady Regencyjnej; tłumy zebrały się na dworcu głównym i entuzjastycznie witały więźnia magdeburgskiego. Gdy Komendant przyjechał do pensjonatu przy ul. Moniuszki 2 — tłum, zebrany na ulicy i na pl. Napoleona, wołał, by się im pokazał; gdy wyszedł na balkon, okrzykom nie było końca. Tegoż dnia Rada Regencyjna przekazała Komendantowi władzę wojskową, a w trzy dni później oddała w jego ręce pełnię władzy wojskowej i cywilnej.

Takiej władzy nie miał w Polsce w ciągu tysiącletnich jej dziejów nikt.

A cóż uczynił z tą władzą Piłsudski?

Oto pomimo trudnej sytuacji, w jakiej się Polska znalazła, — prowadząc wojnę na kilku frontach, — zarządził wybory do

sejmu, które odbyły się dn. 26 stycznia 1919 r. — a w dwa tygodnie później, t. j. dn. 10 lutego t. r., przekazał tę władzę pierwszemu sejmowi. Nikt go do tego nie zmuszał, niktby go do tego zmusić nie mógł — uczynił to sam ze swojej własnej woli.

Wzruszające wówczas przeżyliśmy momenty.

Po uroczystem nabożeństwie w katedrze św. Jana wszedł Komendant na trybunę sejmową, wprowadzony przez Paderewskiego jako szefa rządu; powitany został hucznymi oklaskami i entuzjastycznymi okrzykami.

— Półtora wieku walk, — mówił, — krwawych nieraz i ofiarnych, znalazło swój tryumf w dniu dzisiejszym. Półtora wieku marzeń o wolnej Polsce czekało swego ziszczenia w obecnej chwili. Dzisiaj mamy wielkie święto narodu, święto radości po długiej, ciężkiej nocy cierpień.

„W tej godzinie wielkiego serc polskich bicia czuję się szczęśliwy, że przypadł mi zaszczyt otwierać sejm polski, który znowu będzie domu swego ojczystego jedynym panem i gospodarzem.

W dziesięć dni później, 20 lutego, złożył swą władzę sejmowi.

— Pomimo wszystkich przeszkód udało mi się zasadniczy cel mych rządów osiągnąć i zebrać w Warszawie pierwszy sejm polski w warunkach spokojnych, nie przeszkadzających jego pracom.

„Uważam, że po jego ukonstytuowaniu się rola moja jest skończona. Jestem szczęśliwy, że posłuszny swej żołnierskiej przysiędze i swemu przekonaniu — postawić mogę do dyspozycji sejmowi swą władzę, którą dotąd w narodzie piastowałem.

„Oświadczam niniejszem, że składam swój urząd Naczelnika Państwa w ręce p. marszałka sejmu.

Na tem samym posiedzeniu sejm powziął jednomyślną uchwałę, w której powierzył Komendantowi władzę Naczelnika Państwa.

Patrząc na te zjawiska ówczesnej polskiej rzeczywistości, zadawałem sobie pytanie, czemu należy przypisać, że naród tak był wówczas zgodny co do tego, komu powierzyć swoje losy.

Odpowiedź na to pytanie znalazłem dopiero później.

*

W maju 1923 r. w związku z powstałą sytuacją polityczną Marszałek Piłsudski usunął się z wojska w zacisze Sulejówka; nie przestał jednak interesować się wojskiem, a w szczególności

zagadnieniem budżetu wojskowego; interesowały go wszystkie zamierzenia rządu i ciał ustawodawczych, dotyczące ratowania równowagi budżetu państwowego kosztem potrzeb armji lub obrony państwa.

Toteż gdy przyjeżdżałem do Sulejówka, by mu meldować stan zaopatrzenia armji, albo poszczególne zagadnienia związane z budżetem ministerstwa spraw wojskowych, otrzymywałem następujące dyspozycje:

— Bronić każdej pozycji! — szczególnie w dziedzinie szkolenia armji i zapasów mobilizacyjnych. A co najważniejsze — nie dopuścić, by temi redukcjami budżetowemi zepsuli mi — zanim przyjdę — samą strukturę armji, t. j. ilość wyższych jednostek — tak żeby armja mogła spełnić swoje zasadnicze zadanie: być kadrą zmobilizowanego narodu, bo tego rodzaju szkód tak łatwo naprawić się nie da.

RAPORT SŁUŻBOWY

Dn. 31 maja 1926 r. doszła do nas wiadomość, że Zgromadzenie Narodowe wybrało Marszałka Prezydentem Rzeczypospolitej. By dać wyraz naszej z tego powodu radości i złożyć hołd nowoobranemu Prezydentowi, postanowiliśmy udać się masowo pod gmach sztabu głównego, gdzie w tej chwili znajdował się Marszałek. W ciągu paru minut zaalarmowaliśmy wszystkich oficerów w ministerstwie spraw wojskowych, poczem duża kolumna ruszyła w stronę pl. Saskiego, który później został nazwany pl. Marszałka. W pierwszej czwórce szli generałowie Norwid-Neugebauer, Litwinowicz, Rouppert i ja. Gdyśmy już byli koło Zachęty, zwrócili się do mnie koledzy z pierwszych szeregów, żebym przemówił do zebranych oficerów. W krótkim przemówieniu, wygłoszonem ze stopni pomnika Poniatowskiego, podkreśliłem doniosłość tego wyboru i stwierdziłem, że jest on prawną i moralną legalizacją przewrotu majowego, że oto po raz drugi — podobnie jak w styczniu 1919 r. — Zgromadzenie Narodowe oddaje w ręce Komendanta najwyższy urząd Rzeczypospolitej.

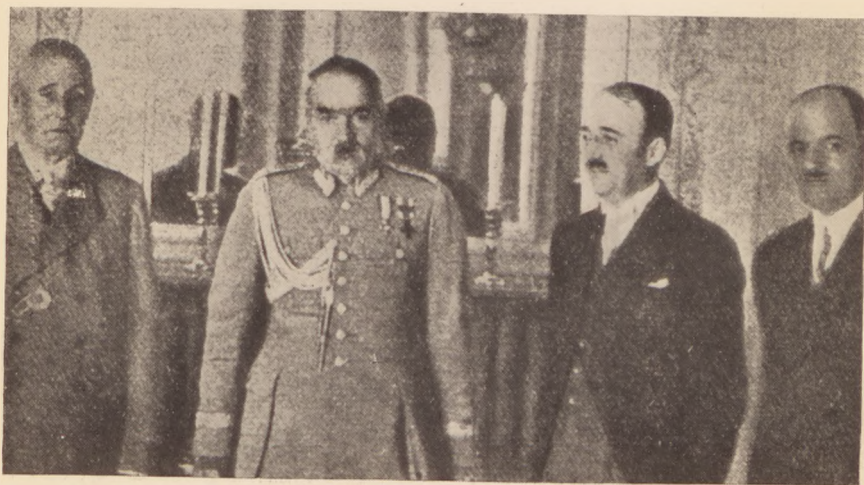
Przemówienie to ująłem w formę raportu, złożonego Nieznanemu Żołnierzowi i Poniatowskiemu, Marszałkowi Francji i Polski; zakończyłem okrzykiem na cześć nowoobranego Prezydenta. Jeszcze nie przebrzmiały okrzyki zebranego tłumu, gdy schodząc ze stopni pomnika, zobaczyłem pełniącego wówczas funkcję szefa sztabu, gen. Burkhardt-Burkackiego,



NA KASZTANCE ...



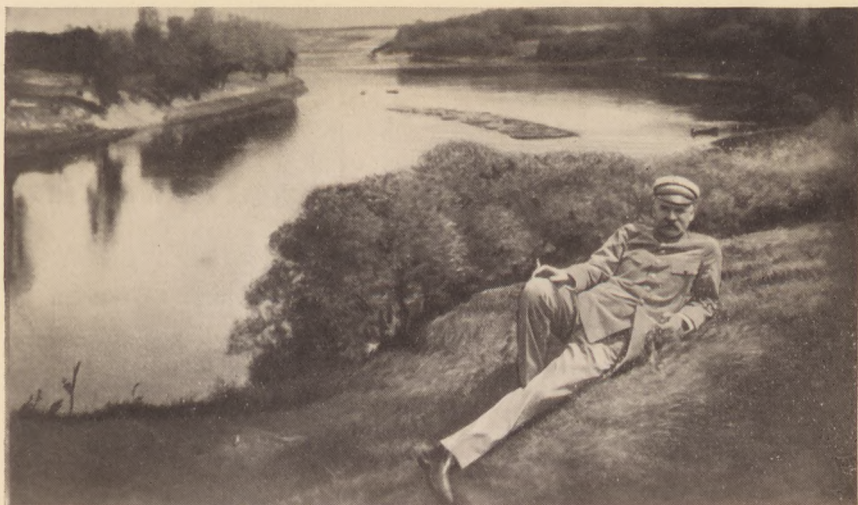
PO DEFILADZIE ...



PREZES FIDAC'U Z WIZYTĄ U KOMENDANTA

Od lewej ku prawej :

Prezes Fidac'u pulk. angielski Abbot, Komendant, przedstawiciel kombatanatów francuskich Józef Granier i prezes Federacji gen. Górecki.



NAD UKOCHANYM NIEMNEM ...



PIKILISZKI — ULUBIONE JEZIORO, OTWARTE OKNO W POKOJU
KOMENDANTA

który zawiadomił mnie „z rozkazu Marszałka“, że Marszałek w tej właśnie chwili wysłał pismo do marszałka Rataja z doniesieniem, że nie przyjmuje prezydentury, natomiast proponuje na Prezydenta prof. Mościckiego.

To moje przemówienie było powodem licznych ataków różnych organów prasowych; prym dzierżyły „Gazeta Warszawska“ i „Polonia“. W zjadliwy sposób zniekształcając moje przemówienie, wykpiwali je i opowiadali, jak to Górecki przemawiał do... „koniu księcia Poniatowskiego“. Pamiętałem wprawdzie powiedzenie Komendanta, że „jeszcze nikt nie umarł od tego, co o nim w gazetach napisali“ — jednak przyznać muszę, że gdy adjutant podawał mi rano wycinki prasowe, zawierające takiego rodzaju „polemikę“, nie budziła ona we mnie specjalnego zachwyty.

W parę tygodni później przyszedł do mnie gen. Konarzewski, pierwszy wiceminister spraw wojskowych i szef administracji armji, i z właściwą mu uprzejmością wyraził radość z tego, że już w niedługim czasie będziemy ze sobą bardzo ściśle współpracowali. Ja byłem wówczas szefem korpusu kontrolerów armji, który obok szefa sztabu i szefa administracji był zależny bezpośrednio od ministra spraw wojskowych, w którego imieniu wykonywał kontrolę całej administracji wojskowej, i to tak w centrali jak w poszczególnych dowództwach i służbach. Ponieważ moja współpraca tak z szefem sztabu jak z szefem administracji układała się w sposób bardzo harmonijny, odpowiedziałem gen. Konarzewskiemu, że mojem zdaniem, wprost życzyłby sobie należało podobnej harmonji we wszystkich władzach wojskowych. Gen. Konarzewski, widocznie zakłopotany, odpowiedział, że p. Marszałek życzyłby sobie jeszcze ściślejszej naszej współpracy i że w tym celu ma zamiar polecić mi objęcie służby od gen. Norwid-Neugebauera, dotychczasowego zastępcy szefa administracji armji.

Odpowiedziałem generałowi, że naturalnie wykonam każdy rozkaz Marszałka, gdy jednak gen. Konarzewski odszedł, serdecznie — jak zawsze — się ze mną żegnając, przyszedł refleksje. Z hierarchicznego punktu widzenia wychodząc, mianowanie szefa korpusu kontrolerów armji zastępcą szefa administracji stanowiło „capitis deminutio“, tem dla mnie przykrzejsze, że napewno będzie wyzyskane przez prasę jako dowód, że oto „mówca spod pomnika Poniatowskiego“ został przez samego Marszałka ukarany. Toteż zdecydowałem się prosić o raport służbowy celem przedstawienia sprawy Marszałkowi. Gdy powiedziałem o tem płk. Beckowi, ówczesnemu



szefowi gabinetu ministra, poradził mi, abym napisał raport, który on przedstawi Marszałkowi; tego samego dnia napisałem raport, w którym krótko przedstawiłem sprawę i prosiłem czyby ze względu na przytoczone przeze mnie okoliczności Marszałek nie zechciał zmienić powziętej a tak dla mnie bolesnej decyzji.

Po kilku dniach płk. Beck doniósł mi, że Komendant wzywa mnie do raportu służbowego, który wyznaczył na dzień następny, na godz. 16. Przed odejściem dodał:

— Chciałeś raportu — no to go masz; gdym ci doradzał złożenie meldunku na piśmie, zrobiłem to — przyznaję — w tej intencji, że w czasie pisania może się rozmyślisz. Bądź punktualnie w dużej sali na pierwszym piętrze lewego skrzydła w Belwederze — no i przygotuj się.

Miałem 24 godziny na to przygotowanie; zresztą sprawa była prosta; przeczytałem sobie kopję mego pisemnego meldunku i stwierdziłem, że łatwo jest coś napisać (stąd zapewne pochodzi powiedzenie, że „papier jest cierpliwy“), ale gdy sobie uświadomiłem, że mam stanąć przed Marszałkiem i prosić o zmianę powziętej co do mej osoby decyzji, po raz pierwszy chyba w życiu żałowałem, że wogóle i pisemny meldunek składałem i o raport służbowy prosiłem. „Bo jakżeż to — zapytywałem sam siebie: — Komendant chce cię użyć na takim czy innym posterunku a tobie to nie wsmak!? i dlaczego? Bo... „Gazeta Warszawska“ czy „Polonia“ coś nieprzyjemnego o tobie napisze? A ileż to gorszych, nieraz potwornych, rzeczy i te i różne inne gazety wypisywały o Marszałku, a on zabronił nawet sądowego ich ścigania“.

W poprzednich latach stosunkowo często bywałem z raportami u Komendanta, szczególnie podczas jego pobytu w Sulejówku — tym razem jednak nie czułem się dobrze: spokoju nie dawała mi myśl, że to ja spowodowałem raport, i to w tak blahej, z mego egoizmu wynikłej sprawie.

O wyznaczonej godzinie stawiłem się w Belwederze; gdy oficer służbowy zameldował mi, że „Pan Marszałek prosi“ i gdy już szedłem na pierwsze piętro, byłem pewny, że spotka mnie jakaś kara — według mego przekonania jak najbardziej uzasadniona.

Wszedłszy do sali, zameldowałem „posłusznie, że stawiłem się na rozkaz“.

Marszałek wstał od stołu, trzymając w ręku mój pisemny meldunek i — podszedłszy do mnie — powiedział:

— Cóż to, chłopcze, widzę, że masz żal do mnie?

Nic nie odpowiedziałem — ale Komendant w oczach moich wyczytał napewno, jak go gorąco i szczerze przepraszałem.

— Bo widzicie, — mówił dalej, przechadzając się wzdłuż długiego stołu i dając mi znak ręką, bym „spoczął“, — gen. Konarzewski, to bardzo dobry człowiek, bardzo lojalny współpracownik, ale ja widzę jak mu trudno przychodzi zorjentować się w sprawach budżetowych; żal mi go nieraz, gdy widzę jego zażenowanie, gdy nie może mi odpowiedzieć na jakieś zadane mu przeze mnie pytanie. Więc wy mu pomożecie albo zastąpicie w tej właśnie dziedzinie.

„Ale jest jeszcze jeden moment was bezpośrednio tyżący: kontrola — to bardzo ważna rzecz; pracujecie już w niej długi czas; ale kontrola konstatuje tylko takie czy inne działania administracji; administracja zaś wojskowa, to rzecz żywa, to branie na siebie odpowiedzialności, to integralna część funkcji dowodzenia; toteż chcę was wyciągnąć z kontroli, gdzie was bardzo dobrze zastąpi Maciszewski, i przenieść do administracji, gdzie dopomożecie Konarzewskiemu a przez to samo i mnie.

Raport był skończony.

Zameldowałem tylko: „Rozkaz, Panie Marszałku“ i bezpośrednio z Belwederu pojechałem do ministerstwa spraw wojskowych, gdzie zameldowałem się bezzwłocznie u gen. Konarzewskiego jako jego zastępca.

*

Współpraca moja z gen. Konarzewskim odbywała się w bardzo miłej atmosferze; podzielił on między nas obu kompetencje I wiceministra spraw wojskowych, i praca szła sprawnie, a przez to samo i wydajnie.

W lecie 1927 r. polecił mi pojechać do Francji, celem stwierdzenia, w jakim tempie odbywa się konstrukcja naszych pierwszych, zamówionych tam łodzi podwodnych: „Ryś“, „Żbik“ i „Wilk“. Oglądałem właśnie jedną z tych łodzi, gdy doręczono mi z ambasady naszej w Paryżu telegram od Stefana Starzyńskiego, ówczesnego dyrektora departamentu prezydjalnego w ministerstwie skarbu, który mnie zapytuje, czy zgodzę się objąć stanowisko prezesa Banku Gospodarstwa Krajowego. Odelegrafowałem, że jeżeli to jest rozkaz Komendanta, to naturalnie taki rozkaz wykonam.

Po powrocie do Warszawy zastałem dekret Prezydenta, kontrasygnowany przez Marszałka jako premjera, mianujący mnie prezesem B.G.K.

Przy pożegnaniu oświadczył mi gen. Konarzewski, że przy-

gotował do podpisu Marszałka rozkaz pożegnalny z okazji przejścia mojego do służby cywilnej. Marszałek odmówił jednak swego podpisu, oświadczając, że wogóle nie ma zamiaru ze mną się żegnać, bo uważa, że mimo tego „odkomenderowania“, pozostaje nadal w jego dyspozycji.

PIERWSZE 10-CIOLECIE NIEPODLEGŁOŚCI

W styczniu 1928 r. powstała Federacja Polskich Związków Obrońców Ojczyzny. Protektorem Federacji był p. Prezydent Rzeczypospolitej, jej prezesem honorowym — Marszałek Piłsudski.

Zadaniem Federacji było zjednoczenie pod jednym sztandarem obrony kraju wszystkich uczestników walk o niepodległość Polski, bez względu na to, na jakim froncie walczyli, boć różnemi drogami szedł żołnierz polski do upragnionego celu. Chodziło o to, by ten wielki ogrom patriotyzmu i zdolności poświęcenia, jaki reprezentują związki kombatanckie, został celowo wykorzystany w tym wielkim wysiłku, jakiego od nas wymagać będzie codzienna praca nad odbudową kraju.

W lecie 1928 r. zwróciłem się do premiera Kazimierza Bartla z zapytaniem, czy widziałby możliwość urządzenia wielkiego zjazdu Federacji dn. 11 listopada t.r., tak aby w przewidzianej na ten dzień defiladzie armji czynnej mogły wziąć udział również związki kombatanckie. Premier Bartel zasięgnął opinii Marszałka, poczem zakomunikował mi odpowiedź pozytywną; wtedy to na posiedzeniu zarządu głównego Federacji ustaliliśmy, że chcąc dać możność każdej komórce organizacyjnej sfederowanych wtedy związków wzięcia udziału w defiladzie, należy się liczyć z cyfrą 36 000 kombatanatów wraz z odpowiednią liczbą pocztów sztandarowych.

Dn. 11 listopada 1928 r. Pole Mokotowskie wypełnione było po brzegi. W środku znajdowały się w trzech rzutach: armja czynna, Federacja i organizacje młodzieżowe. Największą liczebnie masę stanowiła Federacja.

O oznaczonej godzinie odbył przegląd dowódca korpusu, potem gen. Konarzewski jako dowódca całości. Widząc tak wielką ilość sfederowanych związków, których dokładnie nie znał, polecił mi, bym tak podczas przeglądu przez Marszałka jak i w czasie odbierania przez niego defilady znajdował się tuż przy nim, celem udzielenia mu wszelkich wyjaśnień.

Po armji czynnej defilowała przed Komendantem Federacja.

Defilowało 36 000! Maszerowali szesnastkami! Na czele tej olbrzymiej kolumny szli ociemniali żołnierze; wzięli się pod rękę, by zachować „równanie“. Gdy znaleźli się naprzeciw trybuny, na której stał Marszałek, wzniesli okrzyk na jego cześć. Stojąc wraz z gen. Konarzewskim tuż obok trybuny, widziałem, jak ten okrzyk ociemniałych żołnierzy wzruszył Komendanta; salutował całą ich kolumnę. A potem maszerowali legjoniści, kurjerki I brygady, peowiaczy i peowiaczki, oficerowie i podoficerowie rezerwy, rezerwiści, obrońcy Lwowa, legjonistki, formacje wschodnie, powstańcy śląscy, poznańscy i pomorscy, weterani armii polskiej we Francji, inwalidzi, dalsze organizacje kobiece i wszystkie inne związki sfederowane. Gdy zaczynała się nowa kolumna, Komendant zapytywał o nazwę związku. Gdy meldowałem zakończenie grupy federacyjnej, Komendant z uśmiechem zadowolenia powiedział:

— Ależ to masa tej Federacji! I to po dziesięciu' zaledwie miesiącach istnienia tej organizacji.

W rok później, t.j. dn. 11 listopada 1929 r., odbyło się uroczyste wręczenie Marszałkowi pierwszego miliona złotych, zebranych z inicjatywy Związku Podoficerów Rezerwy wśród związków sfederowanych, celem restytucji skreślonej przez komisję budżetową sejmu sumy dwóch milionów złotych funduszu na walkę ze szpiegostwem.

Marszałek po wręczeniu mu książeczki P.K.O. na jeden milion złotych, zebranych z ciągu dziesięciu miesięcy ze złotych i parugroszowych składek, przeglądał listy składkowe, dopytując się o szczegóły akcji zbiórkowej pod kątem widzenia udziału w tej akcji poszczególnych warstw społecznych.

*

W lecie 1930 r. przyjechał do nas ówczesny prezes F.I.D.A.C.u *)), pułkownik angielski Abbot, i przedstawiciel kombatanatów francuskich, Granier. Komendant, przyjmując ich w Belwederze, powiedział:

— Wiem od Góreckiego, że wasza organizacja liczy 8 milionów członków jedenastu narodów, sprzymierzonych ongi w czasie wielkiej wojny; a więc jesteście największą tego rodzaju organizacją na świecie. Ale do tych 8 milionów was żywych trzeba jeszcze dodać dalsze miliony waszych poległych

*) Fédération Interalliée des Anciens Combattants (Międzjalnancka Federacja b. Kombatanatów) powstała w r. 1920. Należały do niej organizacje kombatanckie następujących jedenastu krajów: Belgja, Czechosłowacja, Francja, Grecja, Jugosławja, Polska, Portugalja, Rumunja, Stany Zjednoczone, Wielka Brytanja Włochy.

towarzyszy broni, w których imieniu tylko wy macie prawo przemawiać.

W toku dalszej rozmowy płk. Abbot podkreślił, że wśród jedenastu narodów, należących do F.I.D.A.C.u, dopiero trzy dokonały zupełnego zjednoczenia swoich kombatantów, a mianowicie: Stany Zjednoczone (American Legion), Wielka Brytania (British Legion), a świeżo Polska jest w toku dokonania tego przez stworzenie Federacji.

Na to Komendant zauważył, że w Polsce proces zjednoczenia napotykał dość duże trudności, dzięki wrodzonemu nam — może nieco wybujałemu — indywidualizmowi. Pozatem polskie formacje wojskowe w czasie wielkiej wojny walczyły po obu stronach frontu; jednak gdzie chodzi o interesy Polski jako całości — tam kombatanci polscy odnaleźli wspólny dla siebie język i mając na oku obronę kraju zjednoczyli się w Federacji.

Płk. Abbot wyraził radość, że właśnie pod jego przewodnictwem odbyło się posiedzenie Rady Zarządzającej F.I.D.A.C.u, na którym związki, należące do Federacji, na podstawie jednogłośnej uchwały przyjęto do F.I.D.A.C.u.

Polska — mówił — jest jedynym krajem spośród jedenastu narodów, którego cztery związki kobiece również przyjęto do szeregów kombatanckich, gdyż brały one bezpośredni udział w walce o wolność. Toteż, uchwalając ich przyjęcie, rada zarządzająca wyraziła hołd dla walczącej o wolność kobiety-Polki.

OSTATNIA WARTA...

Komendant zmarł dn. 12 maja 1935 r. o godz. 8.45 wieczorem. W pół godziny później przyjechałem do Belwederu. Leżał w narożnym pokoju — na piersiach białe i czerwone kwiaty; Marszałkowa i córki klęczały obok.

Pomodliłem się i stanąłem zboku za kolumną. Najcięższy to był moment w moim życiu. Wpatrywałem się w jego twarz — widziałem, że nie żyje, a równocześnie czułem wyraźnie, że w świadomości mojej nie zmarł.

Dn. 14 maja pełnili wartę przy trumnie generałowie; gdy powiedziałem w domu, że wrócę później, bo od godz. 1 do 2 będę pełnił wartę, mój dwunastoletni syn Romek zapytał mnie, czy on jako harcerz nie mógłby również pełnić warty. Gdy mu powiedziałem, że tylko wojsko pełni wartę, prosił

mnie, bym go wziął ze sobą do Belwederu, bo chciałby wtedy również być przy trumnie. Na poparcie swej prośby dodał:

— Przecież to mój chrzestny tatuś — więc ja muszę być przy jego trumnie.

Widząc, że chłopak bliski jest płaczu, zgodziłem się, że pojedzie z matką do Belwederu i że tam za pozwoleniem Marszałkowej lub którejś z córek wejdzie do sali, gdzie ustawiono katafalk.

O godz. 1 i nasza warta wyszła z adjutantury, kierując się do kaplicy; wartę pełniliśmy w szczęściu; prowadził nas Piskor. Panowała taka cisza, że raził brzęk ostróg i odgłos rytmicznych kroków; siedłem w trzeciej dwójce i przy trumnie stanąłem przy głowie z lewej strony.

Zamarliśmy w bezruchu.

Już przedtem spostrzegłem Romka, który razem z matką stał w rogu sali kaplicznej. Później, gdy przyjęliśmy pozycję „bacność“ i gdy utkwilem wzrok wprost przed siebie — straciłem ich z oczu. Za chwilę jednak spostrzegłem, że Romek stoi tuż przy mnie; najpierw przyjął postawę „bacność“ — a potem ukląkł tuż obok mnie z lewej strony i tak pozostał przez godzinę; czasem spojrzął mi w twarz, potem na szablę — potem przenosił wzrok na twarz Komendanta i modląc się — płakał.

Stałem tuż przy głowie Komendanta z lewej strony. Po raz pierwszy w mojem życiu i po raz ostatni mogłem z tak bliskiej odległości patrzeć w jego twarz.

Ta godzina warty — to był jakby ostatni mój raport, jakby ostatnia spowiedź wobec Ojca i Wodza. Bigotem nigdy nie byłem, ale wierzyłem i wierzę, że umarli utrzymują bezpośredni kontakt duchowy z nami, że wyzwoleni z materji widzą zupełnie wyraźnie każdą myśl naszą. Ta świadomość ułatwiła mi moją z nim rozmowę.

Więc przebiegłem myślą moje życie od chwili gdy po raz pierwszy go zobaczyłem. Przypomniałem sobie każde wypowiedziane do mnie słowo. Prosiłem, by mi wybaczył, że tak późno przejrzałem i rozumiałem całą głębię jego dalekowzrocznej myśli, którą ogarniał Polskę. A potem przysięgłem na trzymaną w prawej dłoni szablę, że zgodnie z jego wskazaniem — póki życia mego — nie przestanę pracować dla Polski z całego serca i ze wszystkich sił moich.

Gdyśmy wychodzili z Belwederu, Romek odezwał się do mnie:

— Tatusiu, zerwałem sobie na pamiątkę jeden listek z tego

301 -
dużego wieńca od Pana Prezydenta, co leżał najbliżej trumny ;
prawda, że Pan Marszałek nie gniewa się na mnie o to; ten
listek będę nosił w szkaplerzu wraz z medalikiem Matki Boskiej
— to będzie taka pamiątka na całe życie.

— Bądź spokojny: Komendant widzi dobrze twoje intencje
— uspokoilem chłopca, który z trudem hamował cisnące mu
się do oczu łzy.

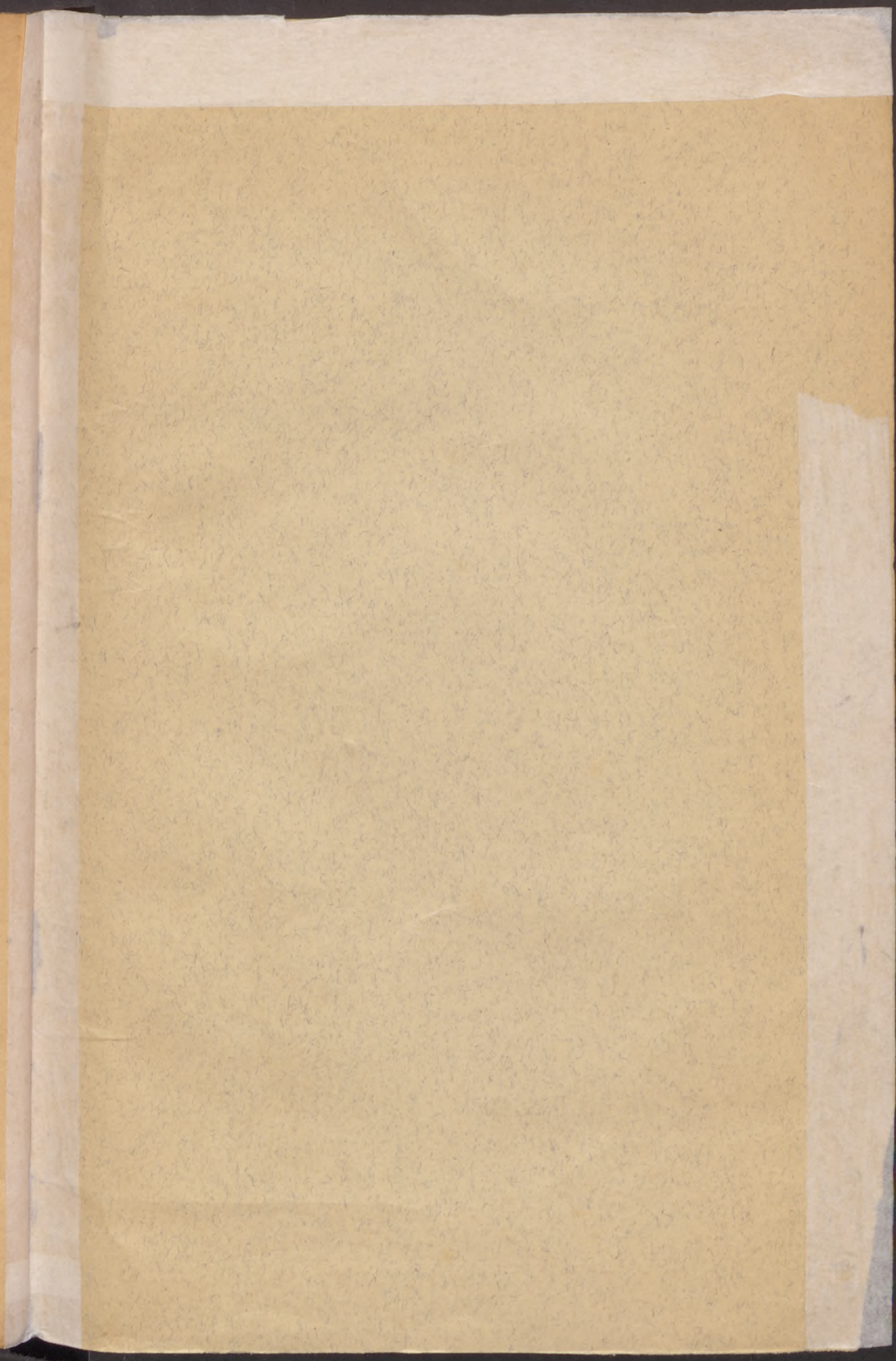
LONDYN, W MAJU 1942.



Biblioteka Główna UMK



300042371576



Biblioteka
Główna
UMK Toruń

911144

Biblioteka Główna UMK



300042371576 71576

Cena 1s. 6d.

Czysty dochód przeznaczony dla Polaków w Rosji